



LIRA
WYDAWNICTWO

Małgorzata STAROSTA

Z tymi babkami jak nie komedia, to kryminał...

Gdzie policja nie może, tam Małgonia narozrabia!

NA TROPIE TRUPA



A gdyby tak
rzucić wszystko
i wyjechać...
na Kurpiowszczyznę?

NA
TROPIE
TRUPA

Małgorzata
STAROSTA

NA
TROPIE
TRUPA


WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67654-29-6

O KURPIOWSKIM SKARBIE

Gdy Pan Bóg stworzył świat i po raz pierwszy dokonywał jego przeglądu z przestworzy, spostrzegł, że nad Syberią zmarzły Mu ręce. Zaczął więc je rozcierać i z tych Jego rąk na ziemię syberyjską spadły wszystkie skarby ziemi — złoto, srebro, platyna, ropa naftowa, drogie kamienie, dosłownie wszystko. A kiedy był nad ziemią kurpiowską, ręce miał już puste. I zapłakał tedy Pan Bóg nad tą ziemią, i zapłakali biedni jej mieszkańcy. Z łez Pana Boga poniesionych wiatrem powstały najpiękniejsze na świecie jeziora mazurskie, a z tych jezior wypłynęło siedem rzek kurpiowskich, najczystszych na świecie. Z łez płaczących nad rzekami ludzi powstawały bursztyny, które niesione siedmioma rzekami, później Narwią, Bugiem i Wisłą, pokryły całe dno Morza Bałtyckiego. Wtedy uśmiechnął się Pan Bóg i puste wydmy pokryły się lasami, rzeki napęłniły się rybą i ptactwem wszelkim, a łąki zakwitły kwieciami jak tęcza na niebie. I rzekł, odchodząc, jeszcze Pan Bóg: oprócz bursztynu zostawię wam pół mego serca. Jest to skarb, którego nigdy wam nie zabraknie i którego nikt wam nie zabierze, którym możecie obdzielać cały świat.*

* *Kurpie. Legendy i opowieści*, pod red. Iwony Choroszewskiej-Zyśk, Związek Kurpiów i Muzeum Kultury Kurpiowskiej w Ostrołęce, Ostrołęka 2020, s. 7.

SKĄD WZIĄŁ SIĘ BURSZTYN?

Skąd wziął się bursztyn? Kiedy Pan Bóg na grzesznych ludzi spuścił potop, to — jak wiadomo ze starych ksiąg — straszny deszcz padał przez czterdzieści dni i nocy nieprzerwanie, a ludzie ginęli jak nędzne robaki. Płakali też rzewnie z nieszczęścia, a łzy ich — jak napęczniały groch grube, kapały w tę wodę potopową i stało się tak:

— z łez ludzi niewinnych, małych dzieci i innych nieboraków powstał bursztyn jak łza czysta i przejrzysta — na pasyjki, na leki, na korale dla dziewczyn i na inne piękne i przyjemne rzeczy;

— z łez grzeszników pokutujących i żałujących za grzechy powstał bursztyn przyciemniały, zamglony, zachmurzony jakby, dobry na kadzidło, do fajek, na tabakiery albo rączki do kijów;

— z łez ludzi złych, bluźnierców, opojów i innych powstał bursztyn brudny, nie do użytku — na farbę, smołę i inne rzeczy podlejsze.

Bursztyn oczyszcza się w ogniu albo na żarzących węglach i z tego, co dobre było w ludziach, wydaje dym przyjemny dla nosa i oczu, a ze złych resztek zostaje na dnie trochę smrodliwych węgli i czarnej sadzy.

A z borów, co porosły w tych miejscach po potopie, rozlała się żywica, dająca z siebie różną rozmaitość bursztynową nad morzem i w siwej ziemi, i w dużych gniazdach po borach. I przez to bursztyn nazywają do dziś starzy bursztyniarze „żywicą od potopu świata”, a drzewa

*roniące w letnie ciepło żywicę są to „sosny wypłakane”,
bo wypłakują z siebie lepką masę, z której będzie kiedyś
znowu bursztyn.*

*A będzie to za wiele lat — za sto, tysiąc, a może nawet
za dużo więcej*.*

* Tamże, s. 16.

ROZDZIAŁ 1

Dwudziestego ósmego czerwca 2022 roku, w Światowy Dzień Bursztynu, w Muzeum Bursztynu w Wielkim Młynie w Gdańsku został ustanowiony rekord Guinnessa w kategorii „największa bryła bursztynu na świecie”. Największa bryła bursztynu na świecie waży 68,2 kg. Jest ona o prawie 18 kg cięższa od dotychczasowego rekordzisty, bursztynu z Sumatry, który waży 50,4 kg. Jej wymiary to 74 x 57,1 x 42,1 cm – dotychczasowa rekordowa bryła ma wymiary 55 x 50 x 42 cm. Potwierdzili to certyfikowani eksperci, którzy dokonali pomiarów oraz niezbędnych badań.

— Kocham swoje życie! — stwierdziłam, zamykając drzwi na wszystkie zamki po tym, jak wyprawiłam je-dyne dziecko na letni obóz.

Mąż w delegacji, Alicja w drodze na drugi koniec Polski, teściowa obrażona, więc nawet nie zadzwoni. Wydawca dostał, czego chciał, przez tydzień się nie odezwie.

— Chyba pęknę ze szczęścia! — zawołałam.

Mogłabym biegać nago po mieszkaniu, upić się do nieprzytomności, zorganizować szaloną imprezę. Kuszące! Ale o wiele bardziej pociągało mnie nicnierobienie: wyłączyć telefon, komputer wcisnąć pod łóżko i nawet

nie patrzeć w jego stronę. Wreszcie telewizor będzie tylko dla mnie i nikt nie zacznie sapać, że „przecież mecz jest”. A niech sobie nawet będą wszystkie mecze świata — kto ma pilota, ten ma władzę!

Nie mogę powiedzieć, żeby władza uderzyła mi do głowy, bo już po kwadransie znudziło mnie szukanie czegokolwiek interesującego w telewizji, a na platformach streamingowych wybór był tak duży, że poczułam się jak osiołek z wiersza Fredry. W obawie, że zostanę padłą z głodu padliną, wyłączyłam wszystko w diabły.

Rzuciłam się na książki, jednak ani kryminały, ani literatura babska, ani reportaże nie wydawały się właściwym wyborem. Może więc bestsellerowa fantastyka dla młodzieży? Tak, z książkami poszło mi zdecydowanie lepiej niż z telewizją: wytrzymałam całe czterdzieści stron. Podałam się przy frazie „Płynąc rzeką seksownych myśli do morza pożądania” i natychmiast chciałam zadzwonić do Alicji, żeby sprzedać jej ten cytat, który z całą pewnością znajdzie się w jej bogatym słowniku idiotyzmów, ale przypomniałam sobie, że obiecałam nie tęsknić, nie wydzwaniać i pozwolić jej popełniać błędy młodości. Co za pech...

Przemknęła mi przez głowę myśl, że może jestem już stara i nie potrafię samej sobie zapewnić rozrywki, szybko jednak pozbyłam się tego kłamliwego oszczerstwa — gdzie mi tam do starości! Czterdzieści lat to wiek absolutnie piękny, człowiek dopiero mądrości nabrał, uroda stała się szlachetna, charakter się wyszlifował, metabolizm co prawda zwolnił, ale nie można mieć wszystkiego.

— Kto umarł?! — wykrzyknęła do telefonu Basia, kiedy w końcu odebrała. Po pięciu nieudanych próbach dodzwonienia się do niej.

— Oszalałaś? — zdumiałam się. — Nikt nie umarł. Co porabiasz?

— Leżę na fotelu ginekologicznym — wycodziła moja przyjaciółka, chyba odrobinę poirytowana. — Co się stało?

— Coś się musiało stać, żebym dzwoniła do mojej najukochańszej Barbórki?

— Jezu, piłaś! — przeraziła się.

— Jedynie wodę z cytryną.

— Goniu, nie obraż się, ale jestem trochę... zajęta. I niewygodnie mi. Leżę rozkrakana, a pani doktor trzyma w jednej ręce wzornik, a drugą przytyka mi telefon do ucha.

— To po co odbierasz, skoro nie możesz rozmawiać? — zachnęłam się.

— Bo do mnie wydzwaniasz, jakby stała się tragedia! Myślałam, że co najmniej umierasz na zawał. Pani doktor, możemy odwołać karetkę, tu potrzeba psychiatry — zwróciła się do lekarki, a do mnie rzuciła: — Zadzwoń później. — I się rozłączyła.

Wydawałoby się, że człowiek ma wokół pełno znajomych, a gdy przychodzi co do czego, to nie ma z kim nawet poplotkować przez telefon.

Spojrzałam na zegar. Było dopiero wpół do jedenastej. Skoro zdążyłam się znudzić przez niespełna trzy godziny, to co będzie za dwa tygodnie? Rany boskie, katastrofa!

Telefon wydał z siebie dźwięk, od którego przeszły mnie dreszcze — moje złośliwe dziecię ustawiło upiorny, diaboliczny śmiech jako sygnał przychodzącej wiadomości. Oho, Barbs...

„Kicia, czy Ty już się nudzisz? W pierwszym dniu pierwszego od siedemnastu lat urlopu? Może wytrop sobie jakiegoś trupa czy coś...”.

No bardzo śmieszne! Czy w moim otoczeniu występują wyłącznie złośliwe ludzkie jednostki? Prychnęłam głośno i odpisałam:

„Ciebie to nawet żmija by nie ugryzła, żeby się nie otruć”.

Świetna rada: „Wytrop sobie trupa”. Zołza.

ROZDZIAŁ 2

Kurpie jako region słyną z rękodzieła ludowego — oprócz haftu bardzo popularne są tam wycinankarstwo i bursztyniarstwo. Bursztyniarstwo na Kurpiach zawsze było niezwykle popularnym i cenionym zawodem. W XIX wieku tylko w starostwie ostrołęckim znajdowało się prawie 150 kopalni tego szlachetnego kamienia. Bursztyniarze kurpiowscy tworzyli nie tylko popularne kolie, ale również takie przedmioty, jak fajki, guziki czy tabakiery.

— Czyli mam rozumieć, że po trzech dniach na bezrobociu zamieniłaś się w perfekcyjną panią domu i teraz bez obaw można zlizywać sok z podłogi, gdyby mi się ręka ze szklanką trzęsła i trochę bym chlupnęła? — Basia patrzyła na mnie wielkimi orzechowymi oczami z taką intensywnością, jakby chciała zajrzeć do mózgu. — Okna wymyślaś, w szafach wojskowy porządek i już nie masz nic do roboty?

Pokiwałam głową tak energicznie, że niemal chrupnęło mi w szyi. Nie mogłam odpowiedzieć, zajęłam się spożywaniem ciasta, które — notabene — też upiekłam. Z nudów.

— No dobrze, uznajmy, że kryzys wieku średniego dziwnie się u ciebie objawia, ale generalnie społecznie

nieszkodliwie — zawyrokowała moja przyjaciółka i sięgnęła po kolejny kawałek sernika.

Nie żebym jej liczyła, ale czwarty to był.

— Wydawca kategorycznie zabronił mi cokolwiek pisać, żeby „mózg mi się nie rozpuścił”. Obejrzałam wszystkie seriale na Netfliksie, od książek mnie chwilowo odrzuca, Marek jest podejrzanie miły... Co tu robić? — żaliłam się bardziej sobie niż jej, bo ta zołza serce ma z kamienia i nie rozumie problemów ludzi niemających kotów i trojga dzieci.

— Coś ty mi tu kręcisz, kicia — stwierdziła, mrużąc oczy. — Wpadłeś na jakiś szatański pomysł, czyż nie?

Cholewka skórzana, czy ona naprawdę musi mnie tak dobrze znać?

— Nie wiem, czy szatański, moim zdaniem bardzo przyzwoity i mogący się przysłużyć społeczeństwu — odparłam z godnością księżnej Walii.

— O tak, z całą pewnością. I dlatego właśnie odwracasz wzrok. Co wymyśliłeś, diabolicco? Wpadłeś na trop trupa?

— No wiesz co?! — oburzyłam się nie na żarty.

Cóż to w ogóle za insynuacje, że niby ja tak do trupów ciągnę? Jakby nie wiedziała, że autorka kryminałów mdleje na widok cudzej krwi.

— Nie wiem, oświeć mnie.

— Bardzo jesteś zajęta w najbliższym czasie? — Może zaskoczenie przytępi jej bystrość.

— Na potrzeby niniejszej rozmowy załóżmy, że nie bardzo — odparła ostrożnie.

— A nie miałabyś ochoty przypomnieć sobie studenckich czasów? Na przykład... w skansenie?

— Założmy, że bym chciała, ale zależy, gdzie ten skansen.

— Połazimy po chatach, popodglądamy ludzi, poprzyglądamy się artefaktom, pogadamy z panią Jolinką — rozmarzyłam się, celowo ignorując jej słowa. — Potrzebuję trochę przewietrzyć głowę i może jakiejs inspiracji zakosztować...

— Wróć! — przerwała mi obcesowo. — Czy ty powiedziałaś? Że „pogadamy z panią Jolinką”? Z TĄ panią Jolinką? Z Nowogrodu?

— Tak konkretnie to z Łomży, w Nowogrodzie jedynie pracuje.

— Z Łomży? Na Podlasiu? Czy ciebie już całkiem z tej nudy pokręciło?! Ja myślałam, że chcesz wyskoczyć na dwie godziny, a nie jechać na drugi koniec Polski. Mało masz skansenów pod nosem? Oszalałaś — stwierdziła Basia.

— Myślałam, że ci się tam podobało. Poprzednim razem nie przeszkadzała ci dwunastogodzinna podróż — odparłam urażona.

— Goniu... To było prawie dwadzieścia lat temu, kiedy nie miałam niczego w nadmiarze poza wolnym czasem i wiatrem w głowie. Teraz mam trzy darmozjady, dwa kitku i klientów, których muszę wycisnąć jak cytrynę, żeby nakarmić darmozjady.

— I kitku — dodałam dla załagodzenia sytuacji.

— Na kitku mam zawsze, ale tych troje je tyle, że ledwo nadążam z wyciskaniem klientów. Wybacz, ale ten pomysł nie nadaje się do realizacji.

Wygięłam usta w podkówkę i pociągnęłam nosem. Nie było sensu jej przekonywać, widziałam na własne oczy apetyt jej dzieci.

— No trudno, to odwołam... — bąknęłam niepokieszona.

— Co odwołasz? — Spojrzała na mnie z wyraźną troską. — Nie gadaj, że ty już się poumawiałaś!

— Chciałam ci zrobić niespodziankę, pani Jolinka się ucieszyła, hotel już zarezerwowany.

Basia pacnęła się w czoło z taką energią, że powinna dostać wstrząśnienia mózgu.

— Oesu, kicia, ty jednak jesteś niereformowalna. Ogień w tyłku. — Pokręciła głową, więc chyba jednak wszystko z mózgiem było w porządku. Nagle wyprostowała się jak struna i spojrzała na mnie z powagą. — Wiem! — wypaliła. — Pojedź z Markiem! Od lat marudzi, że nigdy nie możecie wybrać się nigdzie sami, bo albo Alicja, albo mamusia, albo ja z całym tałatajstwem. Zróbcie sobie romantyczny wypad na Podlasie. Taki tydzień miodowy osiemnaście lat po ślubie.

Musiałam skrzywić się bezwiednie, na co moja przyjaciółka zareagowała beczelnym rechotem.

— Zobaczysz, będzie fajnie — zapewniła jadowicie. — Poznacie się od nowa. Romantyczne spacer, kolacyjki przy świecach i te sprawy. Miłość odżyje.

Na końcu języka miałam ripostę, co może sobie zrobić z tą radą, ale udało mi się nad sobą zapanować. Właściwie... Może to jedyna okazja, żebyśmy pojechali gdzieś we dwoje? W razie czego będę miała w sądzie argument: „ależ pani sędzio, ja przecież tak się starałam!”. Hmm,

tak, to nie był głupi plan. Jedyna trudność polegała na tym, by przekonać do niego małżonka.

— Czuję w kościach, że napotkam opór — myślałam na głos. — Wyjazd na wakacje to dla Marka kara za grzechy niepopelnione, a spontaniczna wyprawa z żoną będzie jak przedsmak piekła.

— Oj, nie bądź taką pesymistką. Nie wiesz, jak przekonać faceta? Ugotuj mu coś, upiecz ciasto, oblecz się w tiulowy peniurek, masaż zrób, poszepecz do uszka, ubzdryngol go szampanem i pojedzie na to Podlasie z radością nietajoną.

— Ty byś tak zrobiła? — powątpiewałam.

— No coś ty, nigdy w życiu! Mój dostałby informację, na kiedy ma spakować czyste gacie i o której startujemy. Ale ty zacznij od marchewki.

Oczami wyobraźni zobaczyłam siebie w tiulowym peniurku i ubzdryngolonego szampanem Marka. No właściwie... To mogło się udać.

Było już bardzo późno, kiedy mój zmęczony ciężkim dniem małżonek, miłość mego życia, słodki garb, towarzysz doli i niedoli, wszedł do mieszkania, powłócząc nogami, jakby dopiero skończył bieg w ultramaratonie.

— Heeeej — wysapał niczym męczennik.

— No hej. A cóż to za przyroda nieożywiona przekroczyła próg naszego rodzinnego gniazda? Na piechotę szedłeś?

Marek machnął ręką i opadł ciężko na kanapę w salonie.

— Chyba wołałbym wziąć udział w pieszej pielgrzymce do Jerozolimy, niż przeżyć jeszcze jeden taki dzień jak dzisiaj — wymruczał. — Potrzebuję urlopu...

O mało nie podskoczyłam pod sufit, nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście. Tak łatwo poszło!

— Biedactwo moje — szepnęłam z czułością i usiadłam obok. Przykrótka sukienka trochę się podwinęła, odsłaniając koronkę pończochy. Wszystkie siły mi sprzyjały! — To chyba jest bardzo dobry pomysł. Harujesz jak wół, śpisz jak położnica, nie dojadasz, katujesz się. Biedny Mareczek.

Nawet ja, usłyszawszy siebie, musiałam stwierdzić, że trochę przesadziłam, a co dopiero mój mążonek.

Zerknęłam na niego z ukosa i zobaczyłam, jak jego brwi niepokojąco zbliżają się do siebie. Musiałam szybko coś zrobić albo cały misterny plan pójdzie w ciemny las.

— Twoja mama dzwoniła i wyraziła daleko idące zaniepokojenie tempem twojego życia — wyrzuciłam z siebie jednym tchem.

— A już się bałam, że coś ci się stało i zaczęłaś bredzić.

Uff, jakoś się udało. Panuj nad sobą, Gośka, panuj!

— A nie, u mnie wszystko w porządku, właściwie to wręcz nudno. Ale wiesz co? — Pogłaskałam go po zarosniętym policzku. — Może ten urlop to wcale nie jest taki głupi pomysł? Nie mówię, że jakiś długi, ale takie dwa dni, góra tydzień.

Spodziewałam się natychmiastowego ataku, tymczasem Marek, wcielenie buddyjskiego zen, kwiat lotosu na gładkiej tafli jeziora, stwierdził:

— Tak, masz rację.

— Naprawdę? — wyrwało mi się.

— Naprawdę, jutro złożę wniosek i biorę tydzień wolnego. Z dwoma weekendami będzie dziewięć dni.

Usłyszałam cichy podszept diabła, który kazał mi iść za ciosem i grać *va banque*. Niemal od razu odezwał się także anioł, mówiący: nie przeciągaj struny. Niestety, dusza hazardzisty słuchała tylko jednego z nich.

— Ależ to się znakomicie składa, mój kochany, bo mam dla ciebie niespodziankę! — wykrzyknęłam z taką radością, jakbym ogłaszała, że jadę odebrać Nagrodę Nobla.

— O mój borze jesienny! — jęknął mąż. — To nie brzmi dobrze.

— No wiesz co? To tak się cieszysz z tego, że ukochana żona postanowiła zadbać o urozmaicenie małżeńskiej rutyny? Z ciebie naprawdę jest psuj atmosfery. I emocjonalny beton! — Chlipnęłam dość głośno dla podkreślenia krzywdy. A co! Niech widzi, jak się staram.

Marek dopiero teraz spojrzał na mnie przytomnie i z uwagą. Jakby kusa mini i kabaretki były oczywistym domowym strojem pisarki. Nie wspominając o butach, które miały dziesięciocentymetrowy obcas.

— A coś ty się tak odstawiała? — zapytał podejrzliwie. — Zapomniałem o naszej rocznicy?! — Zdjął z palca obrączkę i przyjrzał się grawerowi znajdującemu się po wewnętrznej stronie. — Nie, jeszcze ponad miesiąc.

Miałam ochotę dzielić go czymś twardym, ale jedynym twardym przedmiotem w zasięgu moich rąk był jego zakuty czerep. Nawet daty ślubu nie pamięta, osioł jeden!

Nie zaszczyciłam go odpowiedzią. Zamiast tego zerwałam się z kanapy i pomaszerowałam do kuchni (o ile

w szpilkach w ogóle da się maszerować), gdzie w piekarniku dochodziła ulubiona potrawa mojego małżonka-niewdzięcznika — zapiekanka pasterska. Ile ja się naszukałam jagnięciny dla jaśnie pana!

Bez słowa otworzyłam butelkę czerwonego wina, wyjęłam danie z pieca i — również bez słowa — zaniósłam obie rzeczy na stół. Pan małżonek może daty własnego ślubu nie pamiętał, ale węch miał jak pies myśliwski, więc od razu wiedział, co się święci.

— Zaproszenie mam jeszcze wysłać? A może rozwinąć czerwony dywan? — zapytałam ze złością, kiedy nawet nie podniósł się z kanapy.

— To dla mnie? Tak bez okazji? — wydukał. Pewnie opanowywał ślinotok, niewdzięczny gad.

— W zamierzeniu bez okazji, ale prawdopodobnie będzie rozwodowa — wycodziłam.

— No co ty, Gosiu! — zachłysnął się. — Co ty mówisz, kochana moja? Nawet tak nie żartuj.

— Daleko mi do żartobliwego nastroju. Siadasz czy mam jeść sama?

Wiedziałam doskonale, że nic tak nie przeraża mojego męża jak lodowaty ton i maska nieczulej kobiety. Rzadko sięgałam po te narzędzia, ale czasami nie mam innego wyjścia. Zwłaszcza kiedy bardzo chcę coś osiągnąć, jest to jedyna działająca strategia. A teraz chciałam wyjątkowo.

— Mmm, pyszota! — zachwycił się Marek.

Kłamał, skoro wszystko było tak gorące, że nie miał prawa czuć smaku. Ale to dobrze, strategia zimnego głazu zaczęła działać.

Zignorowałam go i upiłam łyk wina.

— To może wzniesiemy toast? — zaproponował przesadnie grzecznym tonem.

— Proszę bardzo. Za co?

— Yyy, może... za nas?

— Wolałabym nie, jakoś przestałam widzieć naszą wspólną przyszłość.

— Kochanie, nie mów tak! Łamiesz mi serce!

— Najpierw musiałbyś je mieć, a betony raczej znane są z ich braku.

— Przepraszam cię, no zobacz, jak się kajam! — Machnął głową tak mocno, że niemal wyrznął czołem o talerz. Udało mu się jednak wyhamować i jedynie ozdobił czuprynę ziemniakami.

Znów go zignorowałam. Czułam, że do celu już blisko.

— Gosiu! Gosieńko moja najpiękniejsza, najukochańsza, światło mego życia! Jak mogę się zrehabilitować? Na wszystko się zgadzam!

Bingo. Gwarantuję — ta strategia działa za każdym razem.

— No już dobrze, dobrze — odezwałam się głosem zarezerwowanym tylko na kolacje przy świecach. — Wypijmy ten toast za nasz tydzień miodowy w Nowogrodzie.